

KOLEJARZE.

Powieść na tle stosunków kolejowych

napisał

ARTUR GRUSZECKI.

2

(Ciąg dalszy).

— Ani myślę — wzruszył ramionami — za wielkim jestem panem... woźny pójdzie — i zarzawszy na kurtyarz, dał woźnemu polecenie. Nie wiesz Stachu, kto wyjeżdża na linię w sprawie lipcowego awansu?

— Inspektor Lerche jako przewodniczący komisji.

— O do tego trudno trafić — westchnął Wilmański.

— Chyba przez kobietę — zamruczał Borski.

— Co pan mówi!? — zdziwił się Stach.

— Prawdę... znam go, byliśmy razem na stacyi.

— No, no, i ktoby się spodziewał, taki świętoszek...

— Tak panie i święci ulegają kobietom, cóż dopiero niedoszły ksiądz — skończył drwiąco Borski.

Odezwało się lekkie pukanie. Sądzone, że to nowy gość, bo w czasie nieobecności naczelnika składano sobie wizyty, w tem drzwi się otworzyły i do biura wejrzała twarz poważna, surowa inspektora Lerche.

— Czy jest pan oficyał? — spytał wchodząc do pokoju, średniego wzrostu, lekko pochylony, ubrany w ciemną marynarkę mężczyzna i spojrzał po zebranych badawczo a bystre oczy spoczęły na Stachu.

Ten, widząc pytający wzrok inspektora, zmieształ się i niepytany jał się usprawiedliwiać:

— Przyszedłem po akta...

— To woźny załatwia — przerwał mu surowo.

— Nie było go — bąknął — i cicho wysunął się z pokoju.

— Czy jest pan naczelnik, pytam po raz drugi — powiedział szorstko.

— Wyszedł... zaraz wróci — odpowiedział Borski, podnosząc głowę pochyloną nad papierami.

— U kogo jest liczba 19.402?

Po krótkim milczeniu odezwała się cicho Trawecka:

— U mnie, panie inspektorze — i ujęła w białą rękę plik papierów.

— Gotowe?

— Tak jest — bąknęła.

Zbliżył się do jej stołu a nachylając się nad papierami poczuł woń fioletów, wciągnął zapach i z pewną ciekawością spojrzał na manipulantkę. Podobały mu się bujne blond włosy, świeża zarumieniona twarz, usta małe, czerwone i biust dziewczęcy. Przesunął papiery, badał, porównywał, a przeczytawszy rzekł łaskawie:

— Porządna robota... pani ma dobre pismo... jak nazwisko?

— Janina Trawecka — podniosła na niego ciemno-błękitne oczy.

— Akta odesłać do mnie — powiedział tonem urzędowym i skinąwszy głową ledwie dostrzegalnie, zwrócił się ku drzwiom.

W tej chwili wszedł naczelnik, a ujrawszy niespodziewanego gościa, zgiał się w pół w ukłonie:

— Ach, panie inspektorze, co pan rozkaże?

— Już powiedziałem — skinął głową i wyszedł.

Słodką i uprzejmą twarz przełożonego przemieniła się w surową i chmurną. Wodząc oczyma po podwładnych spytał ostro:

— Czego chciał pan inspektor?

— Pytał o akta 19.402 — odpowiedziała Trawecka, wskazując na papiery.

Naczelnik przystąpił do stołu, starannie przejrzał akta i spytał po chwili:

— Mówił co?

— Kazał sobie przysłać.

— I nic więcej?

— Pochwalił porządną robotę — odezwał się Borski ze swego stolika.

— U mnie zawsze porządek — rzekł z odcieniem dumy i wszedłszy do siebie, zadzwonił i woźnemu kazał odnieść akta.

Po chwili służący wysłany po śniadanie, powrócił i poznał po minach, że przełożony już jest obecny. Cicho zbliżył się do Wilmańskiego i położył na stole przyniesione wędliny i bułki. Ten podzielił sumiennie wiktuały na trzy części, jedną owinałszy w papier schował dla Stacha, drugą

wręczył Borskiemu, a trzecią sam spożył. I znów zaczęła się robota ciężka i żmudna, bo niezależna od jakości i ilości pracy, lecz od ilości czasu prześiedzianego za stolikiem z piórem w ręku. Zdawałoby się, że ilość odrobionych „kawałków“ umożliwi swobodę pracownika, jeśli nie w ruchu, to w zajęciu umysłowym, lecz biuro kupuje i jedno i drugie. Jeśli szybko pracownik odrobił wyznaczoną robotę, daje mu się więcej, aby nie marnował czasu biurowego. I czas i praca przymusowa, wloką się jak wóz z ciężarem po grząskim, lepkiem błocie.

Godziny mijały. Naczelnik i Borski pracowali dalej normalnie, obowiązkowo, bez pośpiechu i zatrzymywania się, jak woły dobrze w jarzmo włożone. Wilmański niecierpliwił się, to gorączkowo pisał, znów gryzł rączkę pióra i chmurnie spoglądał na zegarek, którego wskazówki posuwały się z niemożliwą powolnością. Trawecka siliła się na spokój i uwagę, lecz co chwila opadały ją smutne i przygnębiające myśli. Naczelnik przy kwalifikacji nie zaniedba zrobić złej uwagi o jej zdolności. Popełnił niesprawiedliwość, gdyż za kilka minut byłaby skończyła pracę, ale czy taki pan dba o sprawiedliwy sąd... jeśli tylko może, to skrzywdzi. Poczuła głód i tem większy żal ogarnął ją do przełożonego, bo gdyby otrzymała większą pensję, a należy się jej słusznie, mogłaby kupować sobie drugie śniadanie i w domu byłby większy dostatek. A tak liczyła na podwyższenie... Miała kupić sobie nowe trzewiki i przerobić sukienkę... no i w domu trzeba Jasiowi ubrania, gdyż to, co nosi, rozłazi się i co wieczór trzeba łątać i czerować. Ach ta wiosna! — westchnęła głęboko — jaka ona ciężka i kosztowna. Wszystko zimowe trzeba zmienić, schować, a skąd wziąć na nowe? wiosenne?

I wzbierała w niej gorycz do świata, do ludzi, do tego życia ciężkiego, w którym niedostatek, bieda i kłopot zmieniają się kolejno. I kiedy się to skończy? Chyba nigdy... Wprawdzie pan Florjan — myślała o lokatorze matki — mówi, że wkrótce skończy się wyzysk i niewola, a socjalizm zwycięży... ale to gruszki na wierzbie. Niechajby on był jeden dzień w jej położeniu, w tej kancelaryi, pod takim przełożonym, dopiero zrozumiałby życie....

Nareszcie wybiła godzina trzecia, godzina wolności i wyprzeżenia z jarzma.

Borski starannie wytarł pióro, zdjął perkalowy rękaw, złożył i wraz z piórem, ołówkiem, gumą do wycierania schował do szuflady. Porządkował papiery, a wszystko robił spokojnie, systematycznie. Wstał, przeciągnął się, ziewnął i prostował palce aż chrzęszczały.

Wilmański jeszcze przed uderzeniem trzeciej godziny zrobił porządek na biurku; dzwonił kluczykami, przejrzał się w lusterku, przycesał, poprawił krawat i bębniąc palcami po blacie stołu, nasłuchiwał godziny, a skoro posłyszał pierwsze uderzenie, porwał się z krzesła i zaczął się ubierać, patrząc niecierpliwie w drzwi kancelaryi naczelnika, który pilnował zasady pierwszeństwa i rangi przy wychodzeniu z biura.

Trawecka z drobiazgową uwagą uporządkowała papiery, schowała pióra, poprawiła stanik, suknię, włosy, ubrała kapelusik, a będąc głodną czekała z niecierpliwością wyjścia przełożonego. Ten jednak, jakgdyby rozmyślnie, kaszląc, postępując, ubierał się w palto, wreszcie wyszedł ze swego pokoju, spojrzał na podwładnych obojętnie, lekko skinął głową i zwolna opuścił biuro.

Pierwszy wyszedł Wilmański, podawszy rękę koledze i czule ściskając rękę Traweckiej, póki mu jej niecierpliwie nie usunęła. Już będąc na schodach przypominała sobie o pozostawionym bukietku. Szybko wróciła, a gdy zarumieniona z pośpiechu wyszła z gmachu na ulicę, ujrzała całą gromadę urzędników. Jedni szybko szli ulicą, inni rozmawiali, tamci wyznaczali sobie głośno miejsce spotkania, a patrząc na ich twarze, ruchy, słuchając ich głosu, doznawało się wrażenia, że ci ludzie przed chwilą zrzucili gniotący ich ciężar, że cieszą się ich ulicą, słońce, swoboda ruchów.

Trawecka wymijała ich szybko, nie zwracając ich uwagi, dopiero gdy przechodziła obok Wilmańskiego, dosłyszała wymienione swe nazwisko. Gdyby nie szła tak pospiesznie, zapewne posłyszałaby rozmowę Wilmańskiego z kolegami.

— Czy znasz ją? — pytano go.

— To nasza... manipulantka...

— Wcale niczego... próbowałaś szczęścia?

— Nie opłaci się — wzruszył Wilmański ramionami — ona kroci na małżeństwo, ale ja nie głupi — zaśmiał się sucho.

— A ma coś? — spytał jeden z towarzyszy, pokazując palcami ruch liczenia.

— To co na sobie — śmiał się głośno.

— Taka cnotliwa!? — zawołał wesoło kolega.

— Dyabli wiedzą... ale, ale... widziecie? — i Wilmański wskazał oczyma na inspektora Lerche, który w towarzystwie inżyniera kolejowego szedł ulicą, a spotkawszy Trawecką ukłonił się jej uśmiechem.

Poznał ją po bukietku fiołków i gdy przechodziła rzekł tonem ojcowiskim:

— Śliczne fiołki — uśmiechnął się przyjaźnie.

Zmieszana tą uwagą, zarumieniona się, oddała ukłon i przyspieszyła kroku.

— Czy znacie tę małą, inspektorze? — spytał inżynier.

— Od dzisiaj... Wiecie jak u Rammera zawsze duszno, aż do nudności i dziś ze strachem zaszedłem po akta, a tu zamiast znanego zaduchu...

— Spotykacie śliczną dziewczynę — uśmiechnął się inżynier.

— Nie to — zaśmiał się jowialnie — ale pachły fiołki.

— A ona wam nie pachnie? — poklepał inspektora po ramieniu.

— Nawet nie przypatrywałem się jej, bo i co mi z tego? Człowiek już za stary i za ciężki — westchnął.

— A jak się nazywa? — patrzył inżynier za oddalającą się — zgrabną ma figurę, chociaż ja wolę tęższe.

Inspektor rzucił okiem na Trawecką, skracając w boczną ulicę i odpowiedział obojętnie:

— Nazwiska nie znam, a na figury manipulantek nie patrzę... a wiecie ten wyjazd mój na linię jest nudny... zasypują mnie prośbami o protekcję...

— A właśnie i ja do was mam prośbę — uśmiechnął się inżynier z przymusem.

— Ach, wy inżynierze, to rzecz inna... my swoi... o cóż idzie?

— Kuzyn mojej żony, Pasterski, jest osobowym kasyerem... a zdaje się, że na stacyi będzie lepsze miejsce... nie zapomnicie?

— Dajcie mi notatkę przed wyjazdem, bo nie ręczę za moją pamięć.

— Jutro wam dam i z góry wam dziękuję — uściśnął rękę.

— Niema za co... no i nie zapewniam was... może dyrektor, może kto inny ma już upatrzonego na tę posadę... ale postaram się.

— Jak zechcecie inspektorze, zawsze coś znajdziecie — uśmiechnął się przyjaźnie inżynier.

— Dla was, co będę mógł, zrobię.

II.

Przez małe, brudne, cuchnące podwórce, w którego głębi stała murowana oficyna, przeszła ostrożnie Trawecka i poczęła iść wąskimi, lepkiemi od brudu i błota schodami na trzecie piętro. W klatce schodowej unosiły się zapachy kuchenne, przysmażone tłuszcze, zatechłe pomyje, wyrzucone kości, gdyż drzwi tak z jednej, jak i z drugiej strony prowadziły do kuchni poszczególnych mieszkań.

Im szła wyżej, tem silniejszy stawał się zaduch i nieprzyzwyczajonych mógł przyprawić o mdłości, ale Janina zajmowała to mieszkanie na trzecim piętrze od roku i miała czas zobojętnieć na te brudy i wyziewy. Na trzecim piętrze skręciła na lewo i weszła do małej kuchenki, na razie pustej. Z następnego pokoju na odgłos otwieranych drzwi, zawołano głośnym, bezdźwięcznym głosem:

— Kto tam? Czy to Janinka?

Zamiast odpowiedzi, weszła do pokoju oświetlonego dwoma oknami, i składając kapelusz na łóżku, powiedziała tonem niecierpliwym:

— Głodna jestem... może mama mi da...

Matka, kobieta niemłoda, z twarzą prostacką, do której przylgnał wyraz chytrłości, spojrzała na córkę niechętnie zbłąkami, jasnymi oczyma, leniwie poruszyła się na krześle i nie przestając szyć powiedziała oschle:

— Twój obiad w kuchni... weź sobie.

Janina spojrzała na matkę i tonem łagodnym spytała:

— Czy mama się gniewa?... Może nowy jaki kłopot?

— O, tych mi nigdy nie braknie — uśmiechnęła się gorzko. Jasiek gdzieś zgubił czy sprzedał książkę szkolną, Mańka rozdarła świeżo przerobioną spódniczkę, a Klarczy odpadła podeszew. Czy to mało — narzekala — a ty matko gotuj, pierz, prasuj, rób za wszystkich.